

# Wilia mojego ślubu.

NOWELA.

Było to w wiliu mojego ślubu. Słońce wspaniale chyliło się ku zachodowi, a moja narzeczona, córka naczelnika sąsiedniej stacyi kolei wyszła wraz ze mną do ogródka otaczającego przyszłe „nasze” mieszkanie. Patrzyliśmy oboje z zachwytem na płonącą tarczę słoneczną, która oblewała gorącym światłem cały widnokrąg i zdawała się przenikać ciekawym okiem aż w najtajniejszą głębię czarnego boru, graniczącego z budynkiem stacyjnym. Mimowoli spojrziałem na wiotką postać mojej towarzyszkę, w różowo złocistych odbłaskach wieczoru wyglądała jak cudowne, urocze zjawisko. Nagle spokojny i wesoły wyraz jej twarzy uległ przemianie. „Edwardzie” zawołała z głębokim odcieniem smutku „Edwardzie, ja się boję o ciebie!” — „Dlaczego moja najdroższa!” zapytałam spokojnie. „Wiesz, nie mogę zapomnieć tej ogromnej przesyłki pieniężnej, którą ty dzisiaj przez noc masz przetrzymać”.

Roześmiałem się swobodnie. „O jeśli o to tylko chodzi!” odparłem „możesz być najzupełniej spokojną Olusiu, wszak to nie pierwszy raz się zdarza, umiem się zabezpieczyć przeciw wszelkim wypadkom”. Olusia poruszyła główką z powątpiewaniem. „Pomyśl mój jedyny” dodała nieśmiało „że po odejściu ostatniego pociągu, który mnie i ojcuś stąd zabierze a pieniądze przywiezie, służba się rozejdzie a ty zostaniesz sam jeden, zupełnie sam jeden, wśród tego głuchego boru”. Słowa narzeczonej zrobiły na mnie dziwne wrażenie, podobne do niejasnego przeczucia, ale usiłując zapanować nad sobą odparłem krótko: „Tem lepiej dla mnie, niebezpieczeństwo tylko ludzi ze sobą przynoszą”. Moja narzeczona zamilkła, była zawsze tak cicha i małomówna a wobec mnie tak anielsko uległa ale wyraz smutku nie ustąpił z jej delikatnych rysów. Po chwili podniosła na mnie łzami zalane oczy i zawołała zarzucając mi białe rączki na szyję: „Nie słuchasz mnie, ale ja uprzedzę cię o niebezpieczeństwie i obronę cię” zawołała z gorączkowym zadaniem, który mnie na seryo przestraszył. „Olusiu, Olusiu” zawołałem z wyrzutem serdecznym. „O mój najdroższy, mój jedyny, nie gniewaj się na mnie, ja cię tak kocham, a jutro dzień naszego ślubu, im bliższe szczęście tem większy niepokój mnie ogarnia. Ach gdybym ciebie utracić miała!” I to mówiąc rozplakała się znowu. Starałem się uspokoić jej obawy i przeczucia, ale i mnie one dotknęły niemile i zdenerwowały do tego stopnia, że pożegnawszy moją narzeczoną i jej ojca, bezwiednie prawie poddałem się uczuciu niewypowiedzianego smutku i pełnej boleści tęsknoty. Wesoły obraz przyszłości przesłonił się łzawą gązłą niepokoju i ta jedna chwila wystarczyła mi, aby poznać ile ją kochałem i jak wielkim był jej wpływ nademną.

Zajęty sobą nie zauważyłem nawet, że jakiś niemłody jegomość dotąd stał na peronie obok ogromnej skrzyni dębowej, z którą zdawał się niewiedzieć co począć. Nareszcie zdecydował się, przystąpić do mnie i po wielu ukłonach prosił mnie o pozwolenie umieszczenia swego pakunku w sali pasażerów przylegającej do mego pokoju, w którym właśnie przed kilku minutami złożyłem powierzone mi na noc pieniądze. „Czy pan nie możesz tej skrzyni zabrać ze sobą?” spytałem niechętnie. „Nie panie” odpowiedział zapytany „w żaden sposób, bo jak pan widzisz nie jest to skrzynia, ale trumna w której wiozę zabalsamowane zwłoki mojego ojca, a z takim gościem, dodał z boleścią, nie przyjmą mnie w żadnym hotelu. Zmiluj się pan nademną i racz zezwolić na moją prośbę” dokończył tak żałośnie, że nie miałem już serca odmawiać mu dłużej. „Jutro rano zgłoszę się tutaj” dodał zegnając mnie.

Po odejściu ostatniego z gości obszedłem cały budynek kolejowy, pozamykałem starannie wszystkie wejścia, odprawiłem służbę i przeszedłem do swego pokoju. Tu obejrzałem broń, którą zawsze na każdy wypadek miałem nad łóżkiem, poczem usiadłszy przy biurku, zabrałem się do uporządkowania pewnych potrzebnych mi papierów. Z początku zajęty pracą, nie zwróciłem uwagi ani na blizkie sąsiedztwo nieboszczyka, ani na słowa mojej narzeczonej, ani na samotność, w której się znajdowałem, zapomnia-

łem chwilowo o wszystkim. Skończywszy otworzyłem okno i spojrzałem w ciemną dal. Noc była bez promyka światła, księżyc i gwiazdy ukryte za gęstymi chmurami, a głuchy bór szumiał tak uroczyście i tajemniczo, że stałem jak przykuty pod dziwnym, pełnym wspaniałej grozy wrażeniem. „Kocham cię, kocham nad życie” zabrzmiały mi w uszach słowa Olusi i cały rój marzeń barwnych i ponętnych zapelił moją skromną izdebkę naczelnika stacyi, gdyż byłem wówczas naczelnikiem jednego z najmniejszych przestanków na naszej linii. Widziałem śliczną, kochaną dziewczynę, która jutro miała zostać moją żoną, słyszałem jej szczebiot wesoly i kapryśny czasami a czasami pełny rzewnej powagi i smutku. Dziwne to było dziewczę; córka niebogatych rodziców, wychowana skromnie i w pracy, a przecież była delikatną i nerwową jak księżniczka i nieraz miewała przeczucia. Byłem wówczas tak naiwnym, że wyrafinowaną delikatność uczuć i ciała uważałem prawie jedynie za wyłączny przywilej klas najwyższych, czyli tak zwanej arystokracji. Olusia w moim mniemaniu była wyjątkiem z ogólnej reguły, była tak smukłą i wiałą jak młoda brzoźka, a każdy ruch jej był powabny i miękki. Teraz właśnie stała przedemną w zwykłej niedbalej postawie i patrząc na mnie z uśmiechem mówiła harmonijnie zniżonym głosem: kocham cię, kocham nad życie, ale się boję o ciebie, jesteś sam! Wsluchiwałem się chciwie w czarowną melodię pieśni mojego szczęścia, gdy w tem szalony wicher zachwiał wierzchołkami drzew, uderzył z dźwiękiem w szyby otwartego okna i gwałtownie wpadł do pokoju. Oblewając mnie strumieniami chłodnego powietrza i mgły nocnej. Wychyliłem się przez okno, usiłując je zamknąć, a wtedy wydało mi się, że usłyszałem leciutkie gwizdanie, lecz biorąc to za złudzenie pospuszczałem zasuwki okiennic i postanowiłem położyć się na spoczynek. Wiszący naprzeciwko biurka zegar wydrzwonił właśnie 3 kwadrans na dwunastą. Wydrzwonił, licząc machinalnie uderzenia, a przy ostatnim przyszył mi znowu na myśl pełne czułości wyrazy mojej narzeczonej. „Edwardzie, ja się boję o ciebie.” „Godzina duchów się zbliża, a ja jestem sam zupełnie sam, w sąsiedztwie nieboszczyka” — szepnąłem i usiłowałem się uśmiechnąć jak wówczas, gdy mówiłem z Olusią. Eteryjna przedzą moich marzeń przedślubnych spletała się i nie byłem już w stanie zapanować nad fantazjami, które coraz bezładniej i chaotyczniej krążyć zaczęły po mojej głowie. Wszystkie przesady i zabobony, złe wróżby i czary, o których nasłuchiwałem się w dzieciństwie od nianiek i sług, odświeżyły się w mojej pamięci i spotęgowane ważnością chwili i niezwykle otoczeniem przybrały pozory rzeczywistości. Zdawało mi się, że jakieś nowe, ludzkemu oku niewidzialne życie budzi się w okolo mnie, że jestem wciągnięty sam i bezbronny w jakiś wir bezdennej, rzucający mną jak marnym pyłkiem. Głowa mi płonęła, włosy zleżyły się na głowie a powieki ciężły jak ołów. Znużony bezowocną walką, z żywiołem, którego potęgę uczulem po raz pierwszy w życiu, rzuciłem się na fotel i po chwili usnąłem.

Nie wiem jak długo spałem, pamiętam tylko, że miałem sen jakiś przykry, w którym wszystkie wrażenia odebrane w ciągu dnia zmieszały się w obraz pelen fantastycznej grozy. Widziałem trumnę otwartą, a powstający z niej nieboszczyk godził ostrym sztyłem wprost w serce mojej biednej Olusi, która blada jak marmur wyciągała drobniutkie rączki z prośbą o litość. Chciałem krzyknąć i skoczyć jej na ratunek, lecz nieopisane jakieś uczucie przykuwało mnie do ziemi gdy nagle obudziło mnie znane mi uderzenie klucza telegraficznego zapowiadające baczność. Zerwałem się na równe nogi i półsenne jeszcze stanąłem przy aparacie by odebrać depeszę. Telegrafowano z sąsiedniej stacyi, złożyłem listy pisma i włosy powstały mi na głowie, donośnie wyrażnie: „uważaj na trumnę”. Przetarłam oczy sądząc, że jestem jeszcze pod wpływem snu strasznego i obejrzaawszy się trwożnie do koła usiadłem na dawnym miejscu usiłując usnąć raz jeszcze. Zaledwo zamknąłem oczy uirzałem znowu Olusie, tym razem szepnęła tylko, „gdyby było niebezpieczeństwo ja cię ostrzegę i obronę” i znikła.

Wyciągałem ręce by ją zatrzymać gdy wtem uderzenia klucza powtórzyły się, tylko dobitniej niż poprzednio i jak gdyby z rozpaczliwą energią. Jak lunatyk pod wpływem światła księżyca, tak ja machinalnie poruszyłem się w kierunku sto-

lika i odebrałem znowu dosłowne powtórzenie pierwszej depeszy z dodatkami podpisu: „Uważaj na trumnę — Olawia”. Wydało mi się, że jestem igraszką okropnej hallucynacji, czulem że trzęsę się jak w febrze, a poi kroplami spływa mi po zziębniętym czole. Zarazem usłyszałem dziwny jakiś szmer w salce gdzie spoczywał nieboszczyk, zdawało mi się, że wieko dębowej skrzyni zaskrzypiało z lekka. Ta drobna okoliczność oprzytomniła mnie nadspodziewanie, machnawszy ręką jak gdyby dla odpędzenia resztek prześladowających mnie przywidzeń, wybiegłem do komórki przypierającej do mego pokoju i wyniosłem stamtąd cztery ogromne bretnale, młotek i gruby sznur konopny. Tak uzbrojony przyszedłem do salki, gdzie trumna stała zupełnie spokojnie. Pędzony dziką prawie instyktową odwagą zbliżyłem się do niej, a chociaż mrowie strachu i przesady wstrząsało mną jak trzcina usiadłem na wieku i zabrałem się rezolutnie do wbijania gwoździ, co skuteczniwszy zacząłem obwiązywać trumnę sznurem dla bezpieczeństwa. Zaledwie skończyłem tę operacyę zegar wybił godzinę dwunastą, a równocześnie z głębi trumny odezwał się grobowy i silumlony jęk nieboszczyka. Sztuczna odwaga odstąpiła mnie w tej chwili, uciekłem co prędzej do mego pokoju a wbiegając spojrzałem przypadkowo w lustro. Byłem blady jak ściana a wyraz przestachu tak mnie zmienił i oszpecił, że z trudnością poznałem własne rysy. Zdobyłem się zaledwo na przytomność zatelegrafowania do ojca mojej narzeczonej, by wysłał kilku ludzi na pomoc, bo przeczuwałem niebezpieczeństwo tem gorsze, że nie wiem skąd na mnie spadnie. Wyczerpany tym ostatnim aktem woli i przytomności rzuciłem się na kanapę i chwilę przeleżałem jak martwy usiłując zebrać myśli i zdać sobie sprawę z rzeczywistości, odrzucając to co było sennym marzeniem. Na klucz telegraficzny patrzyłem z rodzajem zabobonnego strachu jakoteż na kartkę na której spisałem tajemnicze ostrzeżenie. Byłem z natury odważny i spokojny, a przecież walka z mistyczną potęgą własnej wyobraźni była nad moje siły, upadłem ze znużenia, głowa mi ciężyla, nogi odmawiały posłuszeństwa a przecież nie wolno mi było spocząć, bo niebezpieczeństwo uchylone na razie mogło powrócić za chwilę w postaci jeszcze groźniejszej.

I rzeczywiście wróciło, w pół godziny może usłyszałem ciężki chód kilku ludzi, wpadających do sieni z okrzykiem: „A co, czy już goiów? Gdzie są pieniądze?”, poczem nastąpiło energiczne dobijanie się do drzwi. Zrozumiałem wszystko i czując całą trudność sytuacji, zatelegrafowałem znowu o pomoc, na co odpowiedziano, że takowa nadejdzie natychmiast, gdyż przed 5cui minutami pociąg nadzwyczajny wysłano. Od stacyi do stacyi było oddalenie 30 minut, zatem miałem wytrzymać obalenie jeszcze przez minut 25. Na całą obronę miałem 2 rewolwery sześciostzałowe, dubeltówkę i szablę. Uzbroiwszy się, przeszedłem do salki, pod której oknami opatrzonemi na szczęście w silne kraty, zgromadzili się rozbójnicy, chcąc ocenić jak rzeczy stoją. O ile w ciemności rozróżnić mogłem, było ich czterech chłopów silnych jak dęby, spozstrzegłem także, że byli bezbronni. Widocznie przybyli nie w zamiarze walki, ale aby zabrać pieniądze. Patrzyłem na nich badawczo, zdawali się być zakłopotani i niepewni, nareszcie jeden z nich, w którym poznałem owego jegomościa z peronu, rozkazał im pójść do wozu po siekiery i drzwi wylamać. Oprócz tego usłyszałem teraz wyraźnie, że mój nieboszczyk rzuca się w trumnę jak szczupak na wędcę i uniesiony złością głośno przeklina. Roześmiałem się szyderczo i ja bezsilny wobec marnych urojeń, wobec rzeczywistego niebezpieczeństwa, odzyskałem całą sprężystość i postanowiłem bronić się do upadłego. Wszak tu chodziło o moje życie i o szczęście Olusi. Jednak ludzić się nie mogłem, niebezpieczeństwo zbliżało się z każdą chwilą; siekiera jest straszną bronią w ręku wprawnego człowieka, wiedziałem o tem aż nadto dobrze. Niebawem usłyszałem pierwsze cięcia, a drzwi jęknęły pod naciskiem: „Nie tak to łatwo, jak się wam zdaje!” zawołałem „drzwi są dębowe i okute.” Rozbójnicy nie odpowiedzieli ani słowa, lecz ponowili cięcia. Ta niema, a pełna siły protestacya doprowadziła mnie do wściekłości, uczulem coś nakształt pragnienia, aby drzwi uległy co prędzej pod naciskiem szturmujących, chciałem walczyć z nimi w otwartym boju, oko w oko, ręka na rękę. (Dokończenie nastąpi).